

Adam Poprawa

Płeć czasu

„Idziesz do pochodu / czy do antypochodu?” – zapytała Stresa Kicię Kocię w *1 Maju*, jednej ze scenek dramatycznych cyklu Białoszewskiego, napisanej w czasie stanu wojennego. I jeśli czytelnik już się domyśla powodów przywołania, to znaczy, że zrobiło się zbyt oczywiste. „Wyborcza” co tydzień uaktualnia kawały z Peerelu, ale spokojnie, ja nie w ten deseń. A przepisałem te dwa wersy, bo nie da się ich uwspółcześnić, podstawiając pod Stresę lub Kicię Kocię jakieś Prawo i Obywatelstwo czy inną Platformę Sprawiedliwości. Owszem, jest Białoszewski przydatny do korzystania zawsze: na zadane pytanie Kicia Kocia odpowiada, zgodnie zresztą z rymem, że „do samochodu”. Cała zaś scenka kończy się refleksją temporalną: KICIA KOCIA / To tylko rodzaj czasu. / Płeć czasu. / STRESA / Czas jest względny. / KICIA KOCIA / Bezwzględny. / Ale to ja już od siebie. / Pa... dowidzaa”.

Na początku lat 90. zadałem lekturę całego *Oho*, skąd pochodzi *Kabaret Kici Koci*. Na zajęcia przypadła akurat druga tura pierwszych wolnych wyborów prezydenckich w Polsce. Zaczynamy ćwiczenia, a tu jedna studentka mocno podenerwowana:

– Takie poważne czasy, a on mi tu z jakąś Kicią Kocią!

W któryś grudniowy piątek 2015 roku zadzwoniła M.:

– Idziesz jutro w południe na manifestację na placu Solnym?

– Nie, nie lubię, jak za społecznie, ani w tę, ani we w tę.

– Rozumiem.

Była to pierwsza impreza Komitetu Obrony Demokracji, za tydzień druga. Piszę w noc noworoczną, nie wiem więc, czy te tłumne spotkania stały się nową świecką tradycją. W tamten piątek zaesemesowałem jeszcze do M., że jasne, działania PiS są głupie i szkodliwe, ale to jeszcze nie powód, by wchodzić w kicz drugiej strony, że mocno czytałem kiedyś Kunderę. Tymczasem dojechałem do Konspiracy, zresztą tuż przy placu Solnym, zamówiliśmy z Izą obiad i picie, pik-piik, M.: „To co robić?”. Ojej. Odpisałem o dystansie, że pewnie i tak przegramy, ale przynajmniej nie będziemy sobie wyrzucać dziwnych zachowań. Jasny gwint, skleroza! Dzień po przypomniałem sobie o tytule powieściidła Czernyszewskiego, *Co robić?*, ulubionej lekturze Lenina. Dopiero miałbym odpowiedź. A tak przepadło, ja jem śniadanie, M. na manifestacji, wszystko na nic.

A na drugi mityng, jak przeczytałem we wrocławskim dodatku „Gazety”, poszedł Krystian Lupa. Indagowany, jak się czuł w tłumie, odparł:

„Bardzo dobrze i swojsko. Chociaż mam w sobie jakąś niemoc, jeśli chodzi o przyłączenie się do wspólnego wykrzykiwania czy śpiewania piosenek, to wcale nie czułem się przez to wyobcowany. Stałem w tłumie i słuchałem, milcząc. Ale przyłączyłem się, kiedy wszyscy zaczęli skakać”.

Co robić, kiedy przypomniał mi się Sandauer? W stanie wojennym dał się zaprosić z literatami na poligon i sfilmować. Trzymając w rękach, za przeproszeniem, wojskową grochówkę, powiedział do kamery, że on raczej nie najlepiej się czuje w takich sytuacjach. Nie patrzył w obiektyw.

Lupa zaskoczył maksymalnie. Proszę przyjrzeć się składni: „przyłączyłem się” – zdanie nadrzędne – „kiedy wszyscy zaczęli skakać” – podrzędne, domykające wypowiedź, i dopiero tutaj, w ostatnim wyrazie, ujawnia się komiczna siła scenki. Znow pojawiło się skojarzenie, tym razem jednak ze świetnym tekstem kultury. Otóż w pijanym monologu o 12 butelkach jałowcówki Dziewoński parokrotnie sprawdza ich liczbę, przy którejś powtórcie mówi:

„Przeliczyłem je wszystkie jeszcze raz, jak przejeżdżały”.

Kiedy wszyscy zaczęli skakać. Jak przejeżdżały. Dobre, no naprawdę dobre. Czy ktoś znał Lupę z tej strony? Nie żeby na przykład w olśniewającej *Wycinca* nie było nic a nic do śmiechu, niemniej jednak robi wrażenie tak eksplodująca puenta ze skakaniem. W przywołanym wywiadzie Lupa mówił później o planowanym spektaklu, nieobojętym wobec aktualności. Ale kto wie? Może powoli, powoli szykuje się wielkie czterogodzinne widowisko teatralne na podstawie słynnego skeczu o sęku? Państwo sobie wyobrażają? Scena otoczona trzema szklanymi ścianami, za prawą, już na proscenium stolik z telefonem, za szyby lewej ściany widać aktora z rozpostartymi ramionami, dłonie przyłgnięte do szklanej tafli, i słycać jego głos:

– Trzy liczbowe, nie trzy pytajne.

A tymczasem aluzja za aluzją. Varga pisze felieton o nowych *Gwiezdnym wojnach* potraktowanych jako alegoria rządów Prawa i Sprawiedliwości, z dokładnymi personalnymi odpowiednikami. Poniżej Orliński – niejednoznacznie o lemingach, o reakcjach stadnych uznawanych przez uczestników za indywidualizm, ciekawe. Niestety, kończy się leciutko tylko zawołanym wezwaniem do zmiany sytuacji politycznej. Nawet Wicha i Mleczko, wybitni przecież, przędą cienie. Jasne, po kreskach i plamach znać mistrzów, ale te nowe rysunki nieraz jednak za łatwe. Nie żebym bronił przedmiotu drwin: jeśli prezydent niniejszego kraju zdejmuje Nowosielskiego, a zawiesza Kossaka, jeśli premierka mówi o szkodliwym dla Polski oddziaływaniu *Idy*, to naprawdę wszystko jasne: pośladki wyblakłe. No ale nie może wszystko kojarzyć się z jednym. W „Wysokich Obcasach” Ewa Wanat pisze o nader negatywnych skutkach płciowej abstinencji nawet dla mężczyzn w silniejszym wieku. Nie żebym zamierzał przeczyć, myślałem jednak, że to takie tam kolorowe dodatkowe psychodylu-dyłu, a okazało się w końcówce, że chodzi o Kaczyńskiego.

Narzekam, a są też przecież osiągnięcia. Na przykład KOD – to bodaj najkrótszy w historii literatury i dokumentów życia społecznego tekst grafomański. Może nie? Jasne, grafomania ujawnia się nie w samych trzech literach, lecz w przestrzeni intertekstualnej: w pretensjonalności i zadęciu, z jakimi KOD parafrazuje KOR. Grafomańskie skrótowce? Coś niewątpliwie nowego.

Mistrzynią innych gestów grafomańskich stała się Olga Tokarczuk. Nie mówię o grafomanii w sensie ścisłym: proza Tokarczuk to połączenie poprawnego rzemiosła, modnych tematów i przesadnych ambicji. Na tym przecież autorka nie poprzestaje.

PŁEĆ CZASU

We wrześniu na pierwszej stronie „Wyborczej” ogłasza tekst *Miałam sen*, taką cukierkową wizję o przyjęciu uchodźców w Polsce. Zaczyna zaś: „za Martinem Lutherem Kingiem mogłabym powtórzyć: Miałam sen”. Cóż, mogłaby pani i, niestety, powtórzyła. Ale czy wypadało?

Odbierając Nagrodę Nike za *Księgi Jakubowe*, laureatka przekonywała: „mimo że pisałam tę książkę od siedmiu lat, teraz stała się wyjątkowo aktualna. Można ją czytać jako metaforę tego, co dzieje się dziś u bram Europy”. Tokarczuk powinna więc z nagrody odpalić coś uchodźcom, skoro wspomogli ją recepcyjnie i nade wszystko autointerpretacyjnie.

Tak, wiem, że jakiś właściciel kantoru z prowincji groził pisarce w sieci. Życzę zresztą Tokarczuk – bez ironii, jak Bacha kocham – żeby jej prawnik skutecznie dopadł delikwenta. Tymczasem prasa aż zachłysnęła się potencjalną ofiarą. A pamiętaj państwo z *Nieznosnej lekkości bytu* scenę z rozdziału *Wielki marsz*?

Nim jeszcze ukażą się wielotomowe *Wywiady zebrane* z Olgą Tokarczuk, fragment jednego z nich, z grudnia:

„– Ponoć w każdym domu, w którym pani mieszka, musi być kryjówka? Tutaj też jest?
– Jasne.

– Po co ona?

– Na niebezpieczne czasy. To rodzaj obsesji, która mnie męczy od lat, właściwie od zawsze”.

Raz jeszcze ani trochę nie drwię z poczucia lęku; bluzgi intermatolków niewątpliwie robią swoje. Tyle tylko, wydaje mi się, że kryjówki używa się w niebezpieczeństwie (oby zresztą nie nadeszło), a nie opowiada o niej w wywiadzie. Nawet jeśli rozmówczyni zadała niestosowne pytanie, była to rozmowa nagrywana, nie transmisja na żywo. A swoją drogą: czy naprawdę warto głowić się nad popularyzacją kultury? Taki właściciel kantoru żył sobie spokojnie, nijak literaturą nie niepokoiony. Usłyszał o Tokarczuk – i stało się. Albo jakiś senatorzyna, znany zapewne w szerokich kołach rolniczych i stolarskich, takie bowiem, dubeltowe, posiadał wykształcenie. Wzięło go jednak na literaturę i pisze list do rady miejskiej w Nowej Rudzie, żeby odebrała pisarce tytuł honorowej obywatelki. Takie senatorskie pismo jest niewątpliwie rzeczą do szybkiego i, nie przeczę, łatwego obśmiania. Tymczasem powstaje ogólnonarodowy list protestacyjny, którego autor i chyba inicjator pisze do senatora ironicznie (choć ten i tak by nie zrozumiał), niemniej stawia Tokarczuk w rzędzie największych całej polskiej literatury.

Jarosław Marek Rymkiewicz dostał w Łodzi Nagrodę Tuwima. I histeria. Dwie jurorki namiętnie się odcinają, nie tylko votum separatum, ale i rozwlekły duet na scenie w trakcie uroczystości wręczenia. A nie mogłyby tak ustanowić własnej nagrody? Nagroda Pretensji Dunin–Stasińskiej. Nieźle by brzmiało, prawda? Nazajutrz zaczyna się zbieranie podpisów pod listem protestacyjnym. (Na wszelki zaś, takie czasy: o Rymkiewiczzu pisałem wielokrotnie, entuzjastycznie z jednych powodów, krytycznie z drugich, kpiarsko z trzecich).

A gdyby żył Martin Luther King... Zbudziłyby się w nocy ze stłumionym krzykiem, usiadł, jeszcze niespokojny, w łóżku. Coretta, też przebudzona:

– Martin! Co się stało?

– Nic... miałem sen... Śniły mi się *Księgi Jakubowe*. |